

GODNOŚĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ I KULTURA

Człowiek pielgrzymujący przyciąga do siebie uwagę innych i budzi w nich pragnienie, żeby pójść gdzieś, i zacząć wszystko na nowo, ale już zupełnie inaczej. Tam, gdzieś dalej od tego, czym tu jesteśmy, bylibyśmy sobą. Bylibyśmy szczęśliwi tak dalece, że nie popełnialibyśmy więcej zasmucających nas błędów. Nie byłoby w nas nic z najemników, lecz wszystko byłoby wolnością, jaką w naszych wspomnieniach byliśmy w rodzinnym domu ojcowskim. Czy to nie dziwne, że z upływem lat ojcowski dom w naszej pamięci coraz bardziej przestaje być przeszłością, a staje się tym, o czym marzymy i ku czemu zmierzamy tak, jak zmierza się ku przyszłości? Niewątpliwie, jest w tym coś z ucieczki starzejącego się człowieka od smutku przemijania, ale w samej tej ucieczce pamięć ukazuje siebie jako nieskończone pragnienie bycia, pełne nadziei, że nie jest pragnieniem daremnym.

Widok pielgrzyma budzi w nas świadomość, że żyjemy tak, jak żyje ktoś, kto odpadł od stanowiącej go prawdy. Gdyby udało się nam *dojrzeć* ów dom rodzinny, w którym domownicy żyją objęci prawdą, przestalibyśmy wynajmować się jej imitacją, a zaczęlibyśmy zmierzać ku niemu; zaczęlibyśmy pracować nad jego budową. Tak, w pielgrzymowaniu odsłania się istota ludzkiej pracy.

* * *

Pielgrzym idzie ku miejscu, w którym, wierzy, że będzie wolny. Idzie ku niemu według tej miary, jaką znajduje w swojej nadziei, dzięki której już w nim przebywa. W wierze pozwalającej mu wypatrywać ziemię rodzinną spływa nań *ład wolności* z ojcowskiego domu, *ład bycia sobą*. *Niewola* oraz jej *chaos*, jakie spadają na człowieka, zaledwie oddali się od rodzinnego domu, pozostają za pielgrzymem. Pielgrzym porzuca kłamstwo, którym się sam określał, i każdym krokiem jedna się z prawdą; w niej odnajduje swoją tożsamość i wolność.

Człowiek zniewolony nie pielgrzymuje. Zatrzymał się w takiej czy innej „dalekiej krainie”, gdzie marnotrawi dziedzictwo wolności (por. Łk 15, 13-14). Niewolnikowi obca jest praca. Skrzywiony ku *posiadaniu*, w którym upatruje swoją zasadę bycia, pograża się w chaosie; w nim wszystkie jego troski sprowadzają się

w końcu do jednej: jak przetrwać? Niewolnik, czyli człowiek wypaczony w swoim byciu, stanowi zagrożenie dla całego świata. Kłamstwo bowiem jest zaraźliwą chorobą. Jest też i pułapką łatwizny. Ludzie, którzy wpadli w jego sidła, wpadają w ręce faraonów oraz ich gwardianów.

Archetyp pielgrzymowania z chaosu kłamstwa ku łądowi prawdy, z niewoli do wolności, daje nam biblijna historia Wyjścia Żydów z Egiptu oraz ich Pielgrzymowania ku Ziemi Obiecanej. Żydzi udali się byli do kraju faraonów w „chudych latach”, uciekając przed skutkami kryzysu ekonomicznego, w jakim znalazł się kraj ich ojców. W Egipcie, gdzie Józef, ich brat, którego niegdyś sprzedali byli wędrownym kupcom, doszedł do władzy i do bogactwa, znaleźli chleb, mięso, owoce, cebulę oraz inne przysmaki. Mieli tam wszystko, czego potrzebowali do wygodnego życia. Brakło im tylko samego życia.

Nie czuli się „u siebie”. Niemniej jednak przyzwyczaili się znosić niewolę, zwłaszcza że towarzyszyły jej wymierne przyjemności. Zamiast odnosić wszystko do swojego odziedziczonego bycia, do ładu wolności z prawdy, i działać przez własną podmiotowość, odnosili wszystko do tego, który aktualnie dzierżył władzę przez siłę i od którego zawisły ich wygody. Punkt odniesienia dla swojego działania, a w konsekwencji i dla swojego bycia, umieścili w faraonie oraz, na co dzień, w ich dozorcach. Do nich *odnosili* i *donosili* wszystko, nawet na siebie wzajemnie. Znalazłszy się daleko od ojcowskiego domu, zapomnieli, że są braćmi.

Pewnego dnia Mojżesz, przebywający na dworze faraona, gdzie królewska córka traktowała go jak syna, odwiedził swoich rodaków w zamieszkiwanej przez nich dzielnicy miasta. Od razu natknął się na scenę bicia Żyda przez Egipcjanina. Widocznie tego rodzaju sceny weszły w codzienny egipski krajobraz nawet w żydowskiej jego części. Mojżesz stanął w obronie bitego człowieka. Zabił Egipcjanina. Nazajutrz znowu odwiedził swoich. Tym razem zobaczył dwóch Żydów bijących się ze sobą. Zganił ich. Oburzeni tym rodacy, wśród których znajdował się także i ten, którego Mojżesz obronił był poprzedniego dnia, *donieśli* do faraona, że to on zabił Egipcjanina. Mojżesz musiał uciekać.

Ukrywał się w górach u swojego przyszłego teścia. Pasąc mu owce na stokach góry Horeb, zapewne szukał odpowiedzi na dręczące go pytania: dlaczego Żydzi ulegli tak wielkiemu upodleniu? Dlaczego stracili godność? Na czym polega wolność, a na czym niewola? Kim jest człowiek? Kim musi się stawać, aby móc być człowiekiem? Mojżesz boleśnie przeżył brak podmiotowości u Żydów. Brak ten dał znać o sobie ich *moralnie chaotycznym postę-*

powaniem: bronili się przed Egipcjanami ekonomicznym sprytem, ale równocześnie oddawali swoich prawdziwych obrońców na ich pastwę. Próba uwalniania się od skutków farańskiego kłamstwa z pomocą kłamstwa niszczącego ich podmiotowość musiała skończyć się chaosem moralnym. Żydzi nadal tkwili w kłamstwie, nie odnosili bowiem swojego postępowania do prawdy stanowiącej o ich tożsamości. Praktycznie negowali siebie samych, a afirmowali faraona, ponieważ liczyli na znośniejsze życie, odnosząc je do niego. Czyny są własnością bycia. Odnosząc swoje postępowanie do faraona, tym samym uznali go za zasadę swojego bycia oraz swojej tożsamości. Równało się to sprzedaży ojcowizny. Było więc aktem *radykałnej niesprawiedliwości*, ponieważ wynikało z *radykałnego kłamstwa*, jakim jest wyparcie się *rodowego imienia* przez osobę ludzką.

Innymi słowy, Żydzi nie przebywali w *ethosie* budowanym wokół prawdy człowieka, lecz — w *ethosie* kleconym przez kłamstwo demagogii i pochlebstwa wokół woli faraona. Z kłamstwa oraz z pochlebstwa lepią sobie *maskę*, ową *persona* rzymskich aktorów, i nią zakrywają *własną twarz na rynku*, udając, że utożsamiają się z postacią, jaką ta maska przedstawia, najemnicy. Najemnicy istnieją jako podrobione osoby. Odgrywają kogoś, kim nie są. Mogą być wszystkim, ponieważ odszedłszy od samych siebie stali się niczym. I o to chodzi każdemu faraonowi.

Akceptując wolę faraona jako naczelną zasadę prawdy człowieka, Żydzi nie mogli szanować samego człowieka. Żyd denuncjujący Mojżesza, swojego obrońcę, nie szanował ani siebie, ani Mojżesza, ani nawet faraona. W nikim z nich bowiem nie szanował Człowieka. Dla Mojżesza właśnie to musiało być znakiem, że jego naród tracił w Egipcie *własną egzystencję*, a zaczynał istnieć cudzą mocą. W 1852 r. Norwid pisał do Konstancji Górskiej: „Ty-le i takiej egzystencji naród ma, ile i jak jest w stanie człowieka uszanować”.

Spod podrobionej maski osoby — osobę, która ją nosi i z nią się utożsamia nazwałbym *persona adulterata*, czyli osobą zafałszowaną dla jakiegoś tam interesu, i taki jest sens słowa *ad-ulterium*, które w języku polskim oddajemy jako „cudzołóstwo” — wygląda smutna twarz nieszczęśliwego człowieka. Jest to twarz odarta z dumy. „Duma jest długim trudem godności” — mówi Norwid¹. Nie zdobywając się nań, *persona ad-ulterata* ratuje się *pychą*.

Ten, kto *pychą* wypełnia brak godności, odślania nędzę swojej egzystencji. Z nędzy tej korzysta faraon. Różnymi sposobami po-

¹ C. K. Norwid, *Kleopatra i Cezar*, I, w: *Pisma wszystkie*, t. V, Warszawa 1971, s. 52.

kazuje siebie jako jedyne wyjście z nieszczęścia. Człowiek przyniesiony nędzą, która polega na tym, że nie ma się w niej dokąd iść, dopatruje się swojej przyszłości w faraonie w złudnej nadziei, że w nim i z nim będzie mógł być szczęśliwy. Ale, niestety, naród czy osoba ludzka zamknięci w tym, co zakreśla im farańska wola, przestają wierzyć w siebie. Nie wierzą, żeby mogli znaleźć w sobie samych cokolwiek, dokąd mogliby się udać i tam być sobą. W konsekwencji wierzą w faraona.

Nędza niewoli człowieka polega na tym, że narzuca mu się transcendencje, jakich on nie odnajduje w swoim wnętrzu, a zakazuje mu się szukać Transcendencji w nim samym, tej Transcendencji, do której on przynależy. Utożsamiając się pod przymusem z narzucanymi mu transcendencjami, w końcu tak się do nich przyzwyczajają, że zapominają, co znaczy być sobą. Dorównując czemuś, co jest dalekie od jego tożsamości, a co znajduje się w zasięgu posesywnych rąk, oddaje się na ich łaskę i niełaskę. A ręce faraona są najsilniejsze.

Dla człowieka czy dla narodu znajdujących się w nędzy — nie w nędzy posiadania, lecz w nędzy bycia! — wszystko może być transcendencją. We wszystkim mogą oni dopatrywać się bóstwa, ponieważ nic dla nich nim nie jest. To właśnie znaczy, że mogą oni być wszystkim, ponieważ są nikim. Straciwszy sens bycia, przychodzący od Transcendencji, tej, który przebywa w samym człowieku i w której on przebywając jest sobą, osoba ludzka skazana jest na sensory, jakie spadną na nią z rąk faraona. Z natury więc rzeczy w stanie nędzy człowiek nie może myśleć logicznie, ani logicznie istnieć. Logika nędzy tak różni się od logiki szczęścia, jak niewola różni się od wolności.

W nędzy nie ma praw, ponieważ te ustanawia rozum szczęśliwy, oddany prawdzie człowieka. Pełno natomiast jest dekreto-ukazów nakazujących ludziom dorównywać farańskiej woli, oddanej interesom władzy. Naród i człowiek nędznego bycia, *personae adulteratae*, z konieczności biorą je za prawa. Określają się nimi pod czujnym okiem dozorców faraona, tak jakby bycie człowiekiem oznaczało bycie najemnikiem. Dekreto-ukazy, wynik rozumu nieszczęśliwego i władzy wykorzystującej nędzę ludzi, która zmusza ich do nielogicznego myślenia, powiększają chaos społeczny, ekonomiczny, polityczny, a przede wszystkim moralny. Im ktoś stał się większym niewolnikiem, tym łatwiej przychodzi mu w tym chaosie wygodnie się ułożyć. Ludzie zdolni odnosić wszystko i wszystko donosić do faraona, nawet na szkodę swoich przyjaciół i obrońców, są nędznie wielcy wśród nędznych ludzi.

W systemie dekreto-ukazów człowiek czuje się porzucony

przez wszystkich w tej mierze, w jakiej sam porzucił prawdę, do której przynależy. Nie czując się „u siebie w domu”, ratuje prywatne „tłumoczki” (Piotr Skarga) w nielogicznym, jak wszystko w nędzy bycia, przekonaniu, że zdoła ocalić siebie. Etyka i ład dekreto-ukazów, sprowadzająca społeczeństwo do zbiorowiska wynajmujących się przedmiotów, zmuszają człowieka do grania roli *idioty*, czyli — według greckiej etymologii tego słowa — kogoś, kto zamyka się w kryjówce prywatnych interesów.

Etyka najemników, a taka jest etyka dekreto-ukazów, nie pozwala *kultywować* osoby ludzkiej; nie pozwala *uprawiać* jej dla Kogoś większego, Kim człowiek mógłby się stawać według pragnienia swojego serca. W królestwie dekreto-ukazów nie ma kultury osoby, nie ma więc w nim i pracy, której istota polega na przygotowywaniu człowieka do Daru bycia sobą, będącego aktem czystej Wolności. Etyka najemników każe *kultywować* silnych oraz prywatne interesy, aby móc przynajmniej przetrwać. Dekreto-ukazy, wynikając z założenia, że ludzie nie mają własnej podmiotowości, a mają natomiast prywatne interesy, tworzą „kulturę siły” oraz „walki o życie”. Nakazują one ludziom zapomnieć o *kultywowaniu* i *uprawianiu* siebie samych, zmuszają ich natomiast do czynów, które nie są ich czynami, lecz tego, albo tych, których interesy poparte są aktualnie największą siłą. Równocześnie zaś ludzie pozbawieni swoich czynów, z biologicznej konieczności szukają sposobów powiększenia swojego stanu posiadania, żeby móc jakoś się ostać w rękach faraonów. Walka o siłę i o władzę, zwana walką klas, pojawia się tam, gdzie ludzie stracili podmiotowość i przestali być *odpowiedzialni*. W systemie dekreto-ukazów wszyscy, łącznie z faraonem, są nieodpowiedzialni, ponieważ wszyscy zawierzili się prywatnym interesom władzy oraz prywatnym „tłumoczkom”.

Kiedy mówię „wola faraona”, mam na myśli to, co mówię, ale mam na myśli także i wolę tzw. demokratycznej większości. Tę wolę, która odważa się decydować o prawdzie odniesienia człowieka do Transcendencji. Wola większości jest wolą faraonską, kiedy uważa, że do niej należy rozstrzygać, kim jest Bóg, jaki On jest, i czego może On się domagać od człowieka. *Ius et debitum*, wyrażające prawdę osoby ludzkiej i będące źródłem praw, przeradzają się tu w *ius et debitum* poddania się tyranii sztucznie skonstruowanego pseudo-podmiotu, jakim jest owa „wola” większości. Mówię o czymś bardzo konkretnym, o czymś, co w dzisiejszym świecie zaczyna decydować, jak człowiek ma traktować siebie oraz innych ludzi od momentu poczęcia aż do momentu śmierci (np. ustawy o sztucznym poronieniu, o eutanazji,

o rozwodach, itp.). Jeśli prawda podlega głosowaniu i jeśli świadectwo człowieka, jakie jej daje, nie ma znaczenia, osoba ludzka jest niczym. Wszystkim natomiast są abstrakcje, jakimi posługuje się wola faraona, bądź tzw. wola większości, a raczej ci, którzy umieją konstruować ją i nią manipulować.

Niewątpliwie, osoba ludzka żyje dla innej rzeczywistości, aniżeli ta, jaka stanowi jej aktualną faktyczność. Człowiek przypomina ową Biedę z greckich mitów, która poczęła w swoim łonie Erosa w chwili współżycia z Dostatkiem na uczcie wydanej z okazji pojawienia się Piękna na tym świecie. Eros Biedy, jej miłość, pragnie Dostatku. Ale gdzie jest Dostatek, do którego odnosząc każdy akt swojego życia, łącznie z tym ostatnim, jakim jest śmierć, człowiek-Bieda mógłby być tym, kim jest w pragnieniu, a więc sobą, a nie najemnikiem? Jak łatwo jest spaść do roli najemnika Dostatku! Gdzie zatem jest nie farański, lecz Ojcowski Dostatek, którego Obfitość uczyniłaby Biedę suwerennym podmiotem? Gdzie jest Miłość *dająca* swoje bycie? Ta dopiero, utożsamiając Biedę ze swoim Darem, uczyniłaby ją tak silną, że nie stałaby już więcej bezbronna sam na sam z wolą faraona, albo z wolą większości.

Po doświadczeniu nędzy zniewolonych Żydów dane zostało Mojżeszowi doświadczenie fundamentalne dla zrozumienia prawdy człowieka. Myślę o doświadczeniu Krzaku Gorejącego. Kiedy Mojżesz zbliżył się do Krzewu, słyszy słowa: „Nie zbliżaj się tu! Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą” (Wj 3, 5). Do człowieka nie wolno się zbliżać w niewłaściwy sposób; na niewłaściwie zadane pytania o niego padną niewłaściwe odpowiedzi. Dlatego Mojżesz usłyszał: Nie tak, Mojżeszu! Zmień się, jak tego wymaga ziemia, do której się zbliżasz. Więcej kultury! więcej szacunku i nadziei!

Komuż zatem człowiek ma dorównywać, kiedy zbliża się do siebie? do innego człowieka? Odpowiedź na to pytanie będzie zarazem odpowiedzią na pytanie o prawdę człowieka, z której i w której jest jego tożsamość, ponieważ istnienie człowieka jest istnieniem zakochanej Biedy: jej tożsamość pochodzi z umiłowanego przez nią Dostatku. Ale okazuje się, że nie człowiek decyduje o tym, gdzie znajduje się ów Dostatek. Gdyby tak było, nie byłby Biedą, lecz... Dostatkiem. Nie musiałyby „zdejmować sandałów”, albo inaczej: nie musiałyby się zmieniać.

Człowiek szuka siebie, a więc musi zmieniać się dopóty, dopóki siebie nie znajdzie. W którym zaś kierunku ma iść na poszukiwanie siebie, o tym mówi mu wiara i nadzieja. Doświadczenia mające miejsce poza nimi mówią mu boleśnie jedynie, gdzie go

nie ma. Wiara i nadzieja tkwią w nim także jako przekonanie, że jest Ktoś, Komu człowiek musi dorównywać, aby móc być sobą.

Wyczuwając, a raczej widząc takie myśli i pytania Mojżesza, „powiedział jeszcze Jahwe: Jestem Bogiem twojego ojca, Bogiem Abrahama, Bogiem Izaaka, Bogiem Jakuba. Mojżesz zasłonił twarz, bał się bowiem zwrócić oczy na Boga” (Wj 3, 6).

Człowiek jest podmiotem, czyli sakralną i suwerenną rzeczywistością; a to dlatego, że obecny w nim jest Bóg. Zbliżając się do człowieka takiego, jakim ma być, zbliżamy się do Boga, któremu człowiek ma dorównywać. Człowiek płonie Bogiem jako swoim sensem, który go spełnia tak, jak ogień spełniał Krzew Gorejący, nie niszcząc go. **Non consumebat**, ale — możemy powiedzieć — **con-summabat rubetum**: nie niszczył Krzewu, lecz jednoczył go ze sobą jakby go dodając do siebie. Przedziwny Ogień i przedziwny Krzew! Z lękiem i ze czcią trzeba patrzeć na niego.

Oddalając się od Boga, człowiek oddala się od siebie: wystarczy źle postawić pytanie o Boga, żeby oddalić się od człowieka; i odwrotnie: wystarczy źle zapytać o człowieka, żeby zamknąć sobie drogę do Boga. „W dalekiej krainie” najemników wszyscy traktują wszystkich jak przedmioty. I dlatego wszyscy razem wpadają w niewolę faraona. Kto bowiem raz przyjął, że człowiek nie szuka siebie, ponieważ nikt nie czeka na niego, musi przyjąć, że stanowi on wytwór własnych rąk. Kto nie szuka siebie jak pielgrzym, ten musi się uważać za stwórcę stanowiącej go prawdy. „Samostwórca” zbyt późno przekonuje się jednak, że uważając siebie za wytwór własnych rąk, oddaje się także w ręce innych: wytwór rąk będzie zawsze przedmiotem wszystkich rąk. Dialektyka walki klas wynika z apriorycznego przesądu, że ręce zdecydowały o tym, iż człowiek jest człowiekiem, a nie — że to człowiek sprawia, iż ręce zachowują się „po ludzku” Doświadczenie Krzaku Gorejącego mówi, że człowiek wyrasta ze stwórczej myśli obecnego w nim Boga i dlatego jest sakralną rzeczywistością, to znaczy podmiotem. Przychodzi z daleka... i trzeba go przyjąć ze czcią, czyli gościnnie.

Boskie pochodzenie istoty ludzkiej przeczuł Homer, co pozwoliło mu, jak twierdzi Norwid, stworzyć dzieło „teologicznej przeźrocystości”. „Tam w każdym nędzarzu i tułaczem obcym podejrzewało się najprzód, czyli *on nie jest z Boga?*... Nie można było ugościć nikogo, zapytując naprzód: *kto jest przychodzić?* — ale dopiero skoro się w nim uszanowało boskość, zstępowało się do *ludzkich* pytań. I to się nazywało gościnnością, a policzało ją dlatego właśnie między nabożne praktyki i cnoty. Jakiegoś «ostat-

niego człowieka!» nie było u Greków Homera! — zawsze on był pierwszym, to jest boskim!”². U Homera boski jest Achilles, ale i świniopas, Eumaios, jest boski. Obydwaj są pierwsi, bo stale dorównujący Bogu. Kiedy Odyseusz dziękuje Eumaiosowi za dobre przyjęcie, chociaż ten nie rozpoznał był jeszcze w nim swojego pana, świniopas mówi: „Gościu, nie godzi się odtrącać przybysza, choćby i gorzej wyglądał od ciebie. Do Dzeusa bowiem należą wszyscy obcy i żebracy”³.

W doświadczeniu Krzaku Gorejącego Bóg stawia przysłowiową kropkę nad „i”: człowiek jest osobą dlatego, że istnieje jako ktoś *zobowiązany* do dorównywania Osobowemu Bogu, który w nim przebywa. I dlatego jest wolny od wszystkiego, co Bogiem nie jest. Sama z siebie osoba ludzka nie jest Absolutem, ale dorównując do Absolutu *ab-solvitur*. Zbliżanie się do Boga uwalnia człowieka od tego, co zatrzymuje go i zamyka w ciasnych przestrzeniach. W świetle obecności Boga w każdej osobie wszyscy są *pierwsi*, ponieważ wszyscy są *boscy*. Wszyscy są wolni; nie ma tu ani panów, ani niewolników. Ten sam Bóg, ku Któremu zbliża się Mojżesz w sobie samym, jest w jego ojcu, w Abrahamie, w Izaaku, w Jakubie... w tobie i we mnie.

Żydzi *zatrzymali się* w ciasnym Egipcie. Nie zbliżając się do Boga, przestali zbliżać się z uszanowaniem do człowieka. Zaczęli natomiast *szacować* jeden drugiego w zależności od tego, jak daleko, albo jak blisko aktualnie znajdowali się od faraona. Egipt nie dla wszystkich był *gościnnie*, a to dlatego, że nie był gościnnie dla nikogo. Ci, których „boskimi” uczynił faraon, wiedzieli, że czas ich boskości był policzony.

Jahwe mówił dalej do Mojżesza: „Dosyć napatrzyłem się na udrękę ludu mego w Egipcie i nasłuchałem się narzekań jego na ciemności, znam więc jego uciemienie. Zstąpiłem, aby go wyrwać z ręki Egiptu i wyprowadzić z tej ziemi do ziemi żyznej i przestronnej. (...) naocznie przekonałem się o cierpieniach, jakie im zadają Egipcjanie” (Wj 3, 7-9).

Bóg, obecny w człowieku nawet wtedy, kiedy ten zatrzymał się daleko od Niego, nie może długo patrzeć na „znajemniczenie” syna swojej stwórczej Myśli. „Naocznie” przekonuje się o cierpieniach, jakie zadają mu faraoni oraz ich dozorczy; współcierpi z nim, ponieważ w nim przebywa. Chce więc, żeby człowiek wyszedł z ziemi, na której się zatrzymał, i żeby zbliżał się do tej Dali, w której czeka na niego rodzinny dom. W tym celu posyła

² C. K. Norwid, *Wstęp do fragmentów Odysei*, w: *Pisma wszystkie*, t. III, Warszawa 1971, s. 674.

³ Homer, *Odysea*, XIV, Warszawa 1953, s. 199 (tłum. Jan Parandowski).

do niego innego człowieka, takiego, który już jakoś wyszedł z ziemi niewoli i pielgrzymuje ku wolności. „Idź przeto teraz, oto posyłam cię do faraona, i wyprowadź lud mój, Izraela, z Egiptu!” (Wj 3, 10). Mojżesz uciekł z Egiptu i wiedział dobrze, dlaczego to robi, ale dopiero wtedy został posłany, żeby wyzwolić innych, kiedy pojął, do jakiej Rzeczywistości człowiek ma być wyzwalany. Prowadzić może tylko ten, kto sam jest już prowadzony, czyli kto sam zbliża się do ziemi wolności, jaką jest Bóg.

Co znaczy być prowadzonym? Powiedzieliśmy, że Mojżesz zbliżał się do Krzaku Gorejącego. To nie było jednak tak. Inicjatywa wyszła od Krzaku, a nie od Mojżesza. Mojżesz nie wymyślił Krzaku; Krzak objawił mu się swoim płomieniem i pociągnął ku sobie. Mojżesz jest prowadzony przez Ogień płonący w Krzaku. On sam jest tym Krzakiem, tak jak był nim jego ojciec, jak był nim Abraham, Izaak czy Jakub. Ale nie jest Ogniem w Krzaku. W tej mierze, w jakiej Mojżesz płonie Bogiem, już jest *posłany* do innych, ponieważ inni widzą jeżeli już nie sam płomień, to przynajmniej rzeczy w pobliżu wydobyte z ciemności przez jego światło. Krzak Gorejący, człowiek płonący Bogiem, jest miejscem Jego obecności oraz Jego *Paruzji* (*par-ousia*) dla wszystkich. Jest świadectwem.

Posłany boi się ciężaru powierzonej mu misji. Wie bowiem doskonale, z jakim ryzykiem wiąże się wszelka próba uwolnienia człowieka z rąk faraona i jakim trudnościom trzeba sprostać, prowadząc ludzi ku Dali, która nie oferuje człowiekowi niczego do posiadania, a tylko każe mu iść i iść, aby być. I zna dobrze swoją słabość. Mojżesz pyta Jahwe: „Kimże ja jestem, bym miał iść do faraona i wyprowadzić synów Izraela z Egiptu?” Jahwe odpowiedział: „Ja będę z tobą” (Wj 3, 11).

Kiedy Madianici „wtręcili (...) Izraela w wielką nędzę” (Sdz 6, 6), zajmwszy mu ziemię i sekwestrując wszystko od zboża pozostawiając, tak że Żydzi musieli ratować się tzw. czarnym rynkiem, Gedeon, młóćąc zboże swojego ojca i kryjąc je przed Madianitami, skarżył się tymi słowami aniołowi Jahwe, który przysiadł się był do niego i mówił mu: „Jahwe jest z tobą, dzielny wojowniku!” (Sdz 6, 11-12); „Wybacz, panie mój! Jeżeli Jahwe jest z nami, skąd pochodzi to wszystko, co się nam przydarza? Gdzież są te wszystkie dziwy, o których opowiadają nam ojcowie nasi, mówiąc: Czyż Jahwe nie wywiódł nas z Egiptu? A oto teraz Jahwe nas opuścił i oddał nas w ręce Madianitów” (Sdz 6, 13). Doświadczenie nędzy i niewoli oraz obcowanie z Jahwe przygotowało Gedeona do podjęcia się misji. Kiedy Gedeon już jest prowadzony, Jahwe mówi do niego: „Idź z tą siłą, jaką posiadasz, i wybaw Izraela z ręki Madiani-

tów” (Sdz 6, 14). Przeląkł się Gedeon, jak przeląkł się był Mojżesz, jak lęka się i odmawia zejścia do jaskini niewolników Sprawiedliwy Platona. „Wybacz, Panie mój, (...) jakże ja wybawię Izraela? Ród mój jest najbiedniejszy w pokoleniu Manassesesa, a ja jestem ostatni w domu mego ojca! Jahwe mu odpowiedział: Ponieważ Ja będę z tobą, pobijesz Madianitów jak jednego męża (...). Pokój z tobą! Nie bój się niczego! Nie umrzesz!” (Sdz 6, 15-16 i 23).

Człowiek *posłany* jest kimś, kogo Bóg *prowadzi* i kto właśnie dlatego *ma prowadzić innych*. W języku greckim „prowadzić” znaczy *agein*. Ten, który prowadził dziecko do szkoły, nazywał się *paidagogós*. W tej mierze, w jakiej ktoś istnieje — to znaczy: „ile ma wolności”, „ile ma egzystencji” — prowadzi innych do prawdy, z której jest „egzystencja” i wolność. Jest pedagogiem. W hierarchii społecznej może być ostatni, jak Gedeon, ostatni jak niewolnik, który w Grecji prowadził dzieci do szkoły; strach posłanego wynika ze zbytniego przywiązywania wagi do swojej pozycji w społeczeństwie, która w sferze bycia osobą, czyli kimś zbliżającym się do Transcendencji, nie ma żadnego znaczenia.

Prawda, do której człowiek powraca, aby być sobą, stanowi jego *Przeszłość*. Posłany prowadzi innych do Przyszłości, tak jak go do niej prowadzi Bóg — do Przyszłości dalekiej, ale już jakoś obecnej, w której na obydwu, na prowadzonego i na prowadzącego, czeka Dar tożsamości człowieka. Doświadczenie „egipskie” ukazuje, czym człowiek nie jest, doświadczenie natomiast Krzaku Gorejącego objawia, kim on jest. Bóg mówi, że Przyszłością osoby ludzkiej jest On sam, Bóg. W Nim odnajduje ona swoją prawdę — Nim zatem ma się stawać. W konsekwencji słowo *ago* przybiera formę czasu przyszłego, *axo*. Z jednej strony wskazujemy na Boga i zarazem na spełnienie się w Nim tożsamości człowieka słowem *axon*, w języku łacińskim *axis*, a po polsku „oś”, „centrum-środek”. Wokół niego osoba ludzka istnieje i pracuje, budując swoje domostwo — *ethos* — ku któremu nigdy nie przestanie pielgrzymować, chociaż w nim już jakoś zamieszkuje. Z drugiej zaś strony ten, który zbliża się do *axon*, dostrzegając w Nim swoją Przyszłość, staje się coraz bardziej *axios*. Język łaciński oddaje treść tego pojęcia słowem *dignus*, a język polski — słowem *godny*. Im człowiek *axios* bardziej przybliża się do *axon*, tym bardziej staje się *axioma*, *dignitas*, *godnością*. Tak właśnie nazywano osobę — *axioma*, *dignitas*, *godność*.

Język polski wydobył na jaw szczególnie moment doświadczenia godności osoby. Polskie słowo „godność”, „godny”, mówi o *godzeniu (się)*. Godny jest ten, kto godzi się z innym człowiekiem, a przede wszystkim z tym „innym” człowiekiem, jaki on sam jest

zadany dla siebie. Godny jest ten, kto godzi się z Bogiem, kto z Nim się jedna. Czas, w którym człowiek godzi się z Bogiem, staje się czasem sakralnym, czasem stawania się człowieka sobą. Nie bez powodu mówimy o *godach weselnych* i chyba nie jest przypadkiem, że w językach słowiańskich czas świąteczny nazywał się *god*. Łacińskie słowo **dignus** chyba także mówi o człowieku weselnej zgody, skoro jego negacja, **indignus**, oznacza kogoś rozgniewanego. Podczas kiedy język grecki wydobywa z doświadczenia godności moment prowadzenia do prawdy, w której mieści się Przyszłość człowieka, nasze języki podkreślają miłość, z jaką należy zbliżać się do tej prawdy. Godność ma charakter komunalny; stanowi ją prawda i miłość.

Czas, w którym człowiek ma dokąd iść, w przeciwieństwie do czasu nędzy, jest czasem *szczęścia*. Zbliżając się do Boga obecnego w nim samym, człowiek płonie Nim, jak płonął Krzak Gorejący. **Beatitudo** osoby ludzkiej objawia się w tym, że *płonie ona sensem*, rozświetlając ciemności dokoła siebie. Dzięki temu osoba ludzka może myśleć logicznie, o co starała się daremnie w stanie nędzy-nieszczęścia. Żeby móc myśleć oraz istnieć logicznie, trzeba mieć dokąd iść, trzeba żyć w *entuzjazmie*, czyli **en theo** — w Bogu. Dorównywując do Boga i płonąc Nim, człowiek zachowuje *trzeźwy umysł i trzeźwe serce* w stosunku do wszystkiego, co nie jest boskie. Dopiero żyjąc w entuzjazmie oraz w trzeźwości, człowiek może oddawać *sprawiedliwość* wszystkiemu, łącznie z Bogiem.

Sprawiedliwość jest *logiką szczęścia*, konstytuowaną przez entuzjazm i przez trzeźwość. Ale czy wystarczy tylko trzeźwość, żeby móc oddać sprawiedliwość osobie ludzkiej? Tej czasowej rzeczywistości, która zbliża się do Boga i płonie Jego wiecznością? Nie wystarczy móc wymierzyć sprawiedliwość osobie ludzkiej; trzeba w niej przebywać, a przebywać w niej znaczy: przebywać w Tym, do Kogo ona się zbliża, ponieważ właśnie to zbliżanie się do Boga czyni z człowieką osobę.

W Liście do Rzymian św. Paweł napomina: „niech nikt nie ma o sobie wyższego mniemania, niż należy, lecz niech sądzi o sobie trzeźwo”. Zaraz jednak dodaje: „według miary, jaką Bóg każdemu w wierze wyznaczył” (Rz 12, 3). Znamy tę miarę z doświadczenia Krzewu Gorejącego, przeczuwał ją Homer, pełen entuzjazmu dla każdego człowieka, choćby to był świniopas. Znał ją, jak mało kto, św. Paweł, który zaraz po cytowanych powyżej słowach pisze: „w okazywaniu czci jedni drugich wyprzedzajcie. (...) Bądźcie płomiennego ducha. (...) Weselcie się nadzieją. (...) Przestrzegajcie gościnności” (Rz 12, 10-13).

Być gościnnym, mówiliśmy, oznacza przyjmować każdego czło-

wieka jako kogoś, kto przychodzi z daleka, od Boga, i daleko, do Niego, idzie. Podejmować go tak, jakby on przychodził z bliższa, znaczy podejrzewać go, że przychodzi do nas interesownie jak przedmiot do przedmiotu. Tak postępują niewolnicy. Trzeźwość w spojrzeniu na człowieka, jakoś tam usprawiedliwiona, pozbawiona jednak entuzjazmu w stosunku do niego, daje początek niesprawiedliwości. Entuzjazm pozwala nam dostrzec w człowieku jego podmiotowość; bo ta jest z Boga. Ale i sam entuzjazm nie wystarczy; bez trzeźwości zapomnimy, że człowiekowi daleko do Boga. Entuzjazm i trzeźwość, tkwiące w samej istocie gościnności, wyrażają owo szczególne *ius et debitum*, z których z jednej strony wynika prawo miłości, a z drugiej — prawa chroniące tę miłość tym, że zakazują one sprzecznych z nią czynów⁴.

Godność tworzy osobową przestrzeń, w której objawia się Transcendencja. Z tego powodu osobowa godność stanowi *oczywistość i pewność* obecności Boga dla człowieka. Człowiek, godny Innym, służy za punkt odniesienia — za pewnik, za aksjomat. Jeszcze inaczej: człowiek godny jest kimś posłanym, aby prowadzić.

Osoba ludzka piastuje godność boską; taki jest jej niejako urząd. W języku polskim jeszcze dziś pytamy: „jak pańska godność?“, kiedy chcemy poznać czyjeś nazwisko wskazujące na jego ojcowski dom. Człowiek jako osoba otrzymuje nazwisko od Boga. Nosi je z uszanowaniem ten, kto godzi się z Bogiem, z Jego absolutną Transcendencją. Inne nazwiska, jakie często przybieramy jako osoby, szybko się kruszą. Na ich treść składają się bowiem okoliczności, a zawieranie godów z okolicznościami to interes bez większej przyszłości. Osobowe nazwisko człowiek nosi swoim istnieniem — przedstawia się nim tak, jak postępuje.

Doświadczenie egipskiej niewoli pokazuje, z czym nie należy utożsamiać imienia osoby. I to już jest bardzo dużo. Kiedy człowiek po grzechu pierworodnym „ukrył się” wśród drzew, w których wygodnie było mu widzieć wszystko o tyle, o ile „jest dobre do jedzenia”, o ile jest „rozkoszą dla oczu” i o ile nadaje się „do zdobycia wiedzy” (Rdz 3, 6), Bóg musiał go szukać. Musiał go szukać dlatego, że On widzi tylko to, co jest. A wszystko jest o tyle, o ile jest tak, jak myśli je Jego stwórcza Myśl. Bóg widzi człowieka w jego tożsamości, w jego godności. Im zatem człowiek dalej

⁴ Mówiąc o aksjologii (nauka o wartościach), mówimy w zasadzie o pojedynowaniu się człowieka z *axon*: z Bogiem oraz z samym sobą. Mówimy też o konieczności oddawania czci Bogu oraz człowiekowi, w którym On przebywa. Aksjologia mówi, co trzeba spełniać, żeby móc zbliżyć się do Krzaku Gorejącego. Widzę też możliwość aksjologii; mówiłaby ona o działaniu Boga, objawiającym Go w świecie jako Tego, który jest jego *axon*, oraz o tożsamości — spełnieniu się człowieka.

odszedł od tego, kim jest, tym Bóg widzi go mniej. „W dalekiej krainie” marnotrawienia ojcowskiego dziedzictwa, jakim jest osobowa tożsamość, rozlega się wewnątrz człowieka wołanie szukającego go Boga: „Gdzie jesteś?” (Rdz 3, 9). Nie widzę cię, ponieważ musiałeś przestać być sobą! Dlaczego to uczyniłeś? (por. Rdz 3, 13). Myślę, że od tego wołania Boga wewnątrz człowieka zaczyna się antropologia, czyli szukanie jego osobowego imienia. Tam, gdzie człowiek się zatrzymał, nie może odpowiedzieć: oto jestem, mów do mnie! Tyle wiemy z doświadczenia niewoli. Żebyśmy mogli poznać nasze imię, Bóg musiał objawić nam *swoje Imię* i Nim pokazać nam wyjście z ciasnej ziemi chwilowych postojów. W Jego bowiem Imieniu mieści się nasza osobowa tożsamość, czyli nasze imię. Sami z siebie możemy je wymyślać, ale zawsze będzie ono wtedy tylko hipotezą domagającą się eksperymentalnej weryfikacji.

„Mojżesz (...) rzekł Bogu: Oto pójdę do synów Izraela i powiem im: Bóg ojców naszych posłał mię do was. Lecz gdy oni mnie zapytają, jakie jest Jego imię, to cóż im mam odpowiedzieć? Odpowiedział Bóg Mojżeszowi: JESTEM, KTÓRY JESTEM i dodał: Tak powiesz synom Izraela: JESTEM posłał mię do was” (Wj 3, 13-14). To imię JESTEM Mojżesz ma zanieść uciemienionemu ludowi, ponieważ jest ono — przez łaskę — także ich imieniem.

W gruncie rzeczy istnieje tylko jedna Godność i jeden Podmiot. Na imię Mu JESTEM, KTÓRY JESTEM. Człowiek jest podmiotem i godnością, o ile uczestniczy w podmiotowości Boga. Poza Jego JESTEM osoba ludzka będzie zawsze czymś posiadanym przez to, co rzekomo sama posiada — przez własne hipotezy. Istotę niewoli widzę w tym, że człowiek zastępuje w sobie JESTEM przez MAM.

Farańskim dozorcą robót, torturującym człowieka, aby dowiedzieć się, dlaczego nie poddaje się on woli faraona, winna wystarczyć krótka odpowiedź: bo jestem! Niestety, dozorczy nie pojmują człowieka!

Żydzi stracili „jestem” i suwerenność, kiedy przestali czcić swojego Boga. Wtedy bowiem odeszli od siebie. W konsekwencji zaczęli nierozumiejąco myśleć i nie według prawdy kochać to, co jest: brakło im zasady działania, ponieważ odeszli od zasady bycia. W nędzy bycia, z łatwością zawładnął nimi faraon. Bóg więc, postanowiwszy uwolnić Żydów, musiał i do faraona skierować odpowiednie słowo.

Poszli do władcy Egiptu Mojżesz i Aaron. I rzekli mu: „Tak powiedział Jahwe, Bóg Izraela: Wypuść mój lud, aby urządził na pustyni uroczystość ku mojej czci” (Wj 5, 1). Tak mówiąc do nie-

go, oznajmili mu pośrednio, iż nie godzi się z prawdą człowieka, że on, Faraon, odgrywa zasadę jego bycia. Obywatele mają podmiotowość nie z niego, ale z Boga, i dlatego Boga, a nie jego, winni czcić, i do Boga, a nie do niego, wszystko odnosić, i płonąć Bogiem, a nie nim. Bóg jest autochtonem w osobie ludzkiej. Nikt inny.

Faraon zrozumiał w lot, o co chodziło. Każdy totalitarny władca czuje na odległość, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo dla jego roszczeń. Odrobina sprawiedliwości w jego pobliżu, błysk entuzjazmu miłości i trzeźwość w spojrzeniu na przemijające okoliczności, a on już traci grunt pod nogami.

Ale nie znaczy to, że faraon ustępuje od razu. Zdając sobie sprawę, że nie potrafi zapanować wprost nad budzącym się w ludziach „jestem”, uderza w nie pośrednio: *niszczy ich pracę*, w której „jestem” odślania się i spełnia. Król egipski dezorganizuje ją Żydom tak, żeby nie mogli o niczym innym myśleć, jak tylko o tym, w jaki sposób związać pierwszy dzień miesiąca z dniem ostatnim. Poprzez zdezorganizowaną pracę Żydów faraon spodziewał się zapanować nad ich czasem, a poprzez panowanie nad ich czasem, myślał, że zapanuje nad ich byciem i pozbawi je jego „jestem”. Panując nad czasem, nie dopuściłby do tworzenia się przyjaźni, do owych *g o d ó w* pomiędzy osobami, bez których nie ma godności. Wśród najemników nie ma przyjaźni. *Agere sequitur esse*, mówi klasyczne *adagium*; działanie wypływa z bycia. Ale bycie ulega przytłumieniu, jeżeli jego działanie zostanie poddane chaosowi.

„Na to odpowiedział im król egipski: Dlaczego to, Mojżeszu i Aaronie, chcecie odwieść lud od pracy? Idźcie co prędzej do waszych robót. I powiedział jeszcze faraon: Oto lud kraju teraz jest liczny, a wy odciągacie go od pracy. Tego samego dnia taki rozkaz wydał faraon dozorcóm ludu nad robotami i pisarzom: Nie będziecie dostarczać więcej ludowi słomy do wyrabiania cegły, jak poprzednio. Odtąd niech sami starają się o słomę. Wyznaczycie zaś im tę samą ilość cegieł, jaką wyrabiali dotąd, nic im nie zmniejszając, gdyż są leniwi. Wołają przeto: Pójdźmy złożyć ofiarę naszemu Bogu! Praca tych ludzi musi się stać cięższa, aby się nią zajęli, a nie skłaniali się ku fałszywym wieściom” (Wj 5, 4-9). Innymi słowy, faraon powiedział: Ze mnie jest wasze działanie, a więc nawróćcie się do mnie, a nie do jakiegoś waszego Boga! Ze mnie jest wasza wolność, a nie z Nięgo!

Praca zamknięta ateistycznie w sobie samej, nie odniesiona nawet do swoich produktów, traci wszelki sens. Z konieczności degeneruje się w chaos moralny. Staje się jakimś *obscenum*, mo-

gącym służyć do wszystkiego i wszystkim. Właśnie wtedy porządek dekreto-ukazów dochodzi do absurdów. Wszystko zamienia w pozory. Pozorna praca zamienia politykę w pozorną politykę, ekonomię w pozorną ekonomię, a nawet z pieniądza robi pozór pieniądza. Jedyne, co w tej grze pozorów pozostaje niepozorne, to idiotyzm prywatno-oligarchicznych interesów.

Położenie Żydów stało się rozpaczliwe (Wj 5, 14 i 19). Stało się takie nie tyle dlatego, że dozorczy przestrzegali dokładnie nakazów faraona, posuwając się aż do bicia pracujących ludzi, ile raczej — że faraon pozbawiwszy pracę sensu, kazał ją czcić, jakby ona była początkiem i zasadą wszelkiego sensu. Przez to kazał czcić właściwie siebie. Odebrał Żydom czas, twierdząc perfidnie, że oddawanie w nim czci Bogu to zwykle lenistwo. Róbcie, krzając się, a zapomniawszy o sobie będziecie wolni. Napis na bramie oświęcimskiego obozu **Arbeit macht frei** powieli logikę faraonńskiej wściekłości na podmiotowość człowieka oraz narodu.

Faraon odebrał Żydom historię. Naród bowiem, który nie panuje nad swoim czasem, przestaje ją tworzyć, ponieważ nie jest jej podmiotem. Zadowala się jej surogatem konstruowanym z anegdotek wypranych wprawdzie z logiki, ale za to często, wbrew zamierzeniom, dowcipnych przez swoją nie dającą się ukryć absurdalność.

Po ciężkiej walce Mojżesza i Aarona z faraonem o czas święty, a więc o pracę, o historię, o godność, Żydzi wyszli z Egiptu. Szukając miejsca, na którym mogliby oddawać cześć swojemu Bogu, znaleźli się na pustyni, gdzie w niewygodach wspomnienie mięsa, owoców, cebuli i czosnku, jakie mieli w Egipcie, prowokowało ich do buntu. Kiedy zapominali, że pielgrzymują do JESTEM Boga, zaczęli dążyć do MAM. Nawet Boga usiłowali sprowadzić do złotego cielca, a prawdę chcieli poddać pod głosowanie, na Mojżesza zaś knuli zamach. Dopiero na pustyni, gdzie i tak nic nie ma, zaczęli powoli pojmować, co to znaczy, że Bóg jest JESTEM, a nie MAM; że nie można czcić Go tylko „tu”, albo tylko „tam”, bo są to kategorie posiadania. Dopiero na pustyni zaczęli pojmować, jak trudne są gody z Bogiem, trzeba je bowiem zawierać z jakimś wielkim NIC do posiadania, a zatem — wszędzie. To zaś znajduje się blisko i zarazem daleko. Bóg daje Jestem, które jest dalekie, tak dalekie, że nawet umierając patrzymy na nie z daleka i pozdrawiamy w wierze, „uznawszy się za gości i pielgrzymów na tej ziemi” (Hbr 11, 13).

Gdzie więc tu, na ziemi, znajduje się owo miejsce, którego szukamy — a które jest wszędzie — aby na nim oddawać cześć Bogu i czuć się „u siebie”? „Panie, widzę, że jesteś prorokiem”, powie-

działa Samarytanka do Jezusa. „Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga. Odpowiedział jej Jezus. Wierz Mi, niewiasto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. (...) Nadchodzi (...) godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest Duchem; potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie” (J 4, 19-24).

Duch i prawda! Taka jest wolność nasza!

I znowu, tak jak to było z Mojżeszem, z Gedeonem i tyloma innymi, Samarytanka przez sam fakt zbliżenia się do JESTEM Chrystusa (odsłonił jej, Kim jest) została posłana do współmieszkańców miasta, aby uwolnić ich od opinii na temat człowieka, w jakiej zatrzymali się w dużej mierze z powodu moralnego chaosu, którego ona była przyczyną, posiadając tylu rzekomych mężów. **Ab-solvebat dum ab-solvebatur**, będąc uwalniana uwalniała innych od imitacji prawdy, od kłamstwa dla prawdy.

Sądzę, że mówimy o takim otwarciu czasu, bez jakiego *kultura* przeradza się w *anty-kulturę*. Kultura tworzy się w czasie świętym, pełnym naszej nadziei, że służy on jako przestrzeń stawiania się tego, co nigdy nie przestanie trwać, choć on sam przemienie. Uprawiać-kultywować czasowe pole ma sens, o ile uprawia się je dla JESTEM Wieczności. Przytomność człowieka dla Wieczności — ów entuzjazm w pracy na czasowym polu — daje osobie ludzkiej trzeźwość i odwagę cywilną, bez których nie można czynić sprawiedliwości temu, co jest. Przytomność człowieka dla Wieczności to problem bycia albo niebycia kultury, to problem ocalenia czasowego pola i pracy na nim. Bez Wieczności w czasie osoba ludzka i naród tracą w końcu przytomność dla samego czasu. Nie są w nim obecni. Nie nadają mu kształtu, ale poddają się presjom okoliczności. W czasie zamkniętym podmiotowość człowieka musi się rozpaść, jak wszystko, w rozpacz. Kiedy człowiek nie ma dokąd iść poza czasem, odkrywa istotę nędzy. „Naród, tracąc przytomność — traci obecność — nie jest — nie istnieje... *Głos prawdy* — ludzie *prawdą żyjący i dla prawdy* mogą znowu powołać go do życia”⁵.

⁵ C. K. Norwid, *Promethidion* — Epilog.